

# Po boomie?

**EWA SZCZECIŃSKA:** „Warszawska Jesień” przez wiele ostatnich lat konfrontowała muzykę polską z centrum moderny – muzyką niemiecką, austriacką, francuską, włoską. W tym roku tematem była twórczość drugiego krańca Europy, Półwyspu Iberyjskiego, oraz ogromnej przestrzeni Ameryki Łacińskiej. Tym samym kierunek konfrontacji przesunął się na południe.

**DANIEL CICHY:** Muzyka ta nie jest w Polsce znana, podobną niespodzianką było spotkanie z kompozytorami azjatyckimi trzy lata temu, jednak tegoroczne zderzenie nie wypadło szczególnie interesująco, a na pewno mniej egzotycznie niż wówczas. Pewnie dlatego, że tradycja tej muzyki jest nam bliższa, większość iberyjskich kompozytorów kształciła się w ośrodkach europejskich i posługuje swoistym dźwiękowym esperanto. Kilku nazwisk zabrakło. Chociażby najwybitniejszego twórcy portugalskiego, związanego z paryskim IRCAM-em, Emmanuela Nunesa...

**ESz:** To spotkanie z iberyjskim kręgiem współczesnej muzyki nie było, niestety, zbyt inspirujące: większość wykonanych utworów potwierdzała solidną znajomość warsztatu, jakiego można wyuczyc się w Paryżu, Wiedniu czy Kolonii, jest w nich zauważalna pewna zręczność, nie potrafię natomiast dostrzec indywidualnego rysu prezentowanej muzyki. W utworach dwóch szczególnie promowanych kompozytorów hiszpańskich – Mauricia Sotelo i José Marii Sáncheza-Verdó – pojawiały się dosyć proste adaptacje flamenco, śpiewu muzyczna, inspiracja muzyką hinduską, niemniej ani w strukturze, ani w brzmieniu nie powstało nic oryginalnego. Miałam raczej wrażenie zerowania na wspaniałej wykonawczej kulturze etnicznej, która broni się sama i kompozytorskich interwencji nie potrzebuje. To muzyka, która może podobać się szerokiej publiczności, lecz jej dialog z tradycją wydaje się płytki. Krótko mówiąc, czuje się modernistyczny szlif, który zdobyli ci kompozytorzy w Europie, jest pewien lokalizm, ale wszystko to jest zaledwie ładne, przyjemne. Nie miałam poczucia kontaktu z wielką sztuką.

**DC:** Również oczekiwałam większej kreatywności w zderzeniu elementów ludowych, wyodrębnienia ekspresyjności i melancholii tradycyjnej muzyki z rezultatem poszukiwań

## O zakończonym festiwalu „Warszawska Jesień” rozmawiają Ewa Szczecińska i Daniel Cichy

POLSKIE RADIO

indywidualnego, nowego języka kompozytorskiego. Okazało się, że artyści ci nie potrafili dokonać twórczej syntezy, a jedynie obnażyli nieprzystawalność materiału źródłowego, niemal dosłownie przywoływane, do dźwiękowej zasłony dymnej w postaci kilku dysonansów, paru zgrabnych sonorystycznych efektów.

**ESz:** Na tej „Warszawskiej Jesieni” sporo było spotkań: międzykulturowych, międzyrodzinkowych. W większości, niestety, nieudanych – powierzchownych, mało kreatywnych. Przykładem eksperyment spotkania młodych kompozytorów i wykonawców z zespołu Kwartetium z beatboksami. Powstały drobniutki, miniaturowy, z których jedynie utwór „Hum...” Dobromiły Jaskot był interesujący, bo kompozytorka próbowała po swojemu, zgodnie z własnym odczuwaniem muzyki, zestawić partie instrumentalne z dalekimi od stereotypu działaniami beatboksera, wciągnęła go w zabawę brzmieniem, a nie rytmem. Tyle tylko że podeszła do zadania jak do jeża, z dużą nieśmiałością, zrobiła rzecz bardzo prostą, etiudę. Niemniej – nawet jeżeli ten eksperyment nie był do końca satysfakcjonujący, dobrze, że był. Poza „Warszawską Jesienią” nikt takich projektów nie realizuje.

**DC:** Zastanawiam się nad przyczyną tej artystycznej porażki. Czy wina leżała po stronie kompozytorów, ich ograniczonej wyobraźni, braku chęci prowokowania beatboksów do wyjścia poza wypracowany idiom? Nie chcę w to wierzyć. A może problem leżał w beatboksach, którzy nie potrafili odnaleźć w sobie wiele ponad zręczne imitowanie perkusyjnych efektów na cztery czwarte?

**ESz:** Ważne jest, że „Warszawska Jesień” jest otwarta na ryzyko – daje młodym kompozytorom szansę. W ogóle debiutów było sporo: Jagoda Szmytka, Aleksander Nowak, Andrzej Kwieciński, Paweł Hendrich. Ale chciałabym też wspomnieć o najlepszym moim zdaniem polskim utworze na festiwalu – o „Cascando” Agaty Zubel. Ta kompozytorka bardzo dynamicznie się rozwija, w „Cascando” budowana z punktów, rysowana cienką kreską narracja dała w rezultacie wyrazistą emocjonalnie aurę i kunsztowną wielowymiarową konstrukcję. A Ty umiałbyś wskazać jakiś jeden szczególnie polski utwór?

**DC:** Też wskazałbym „Cascando”, może jeszcze „Wziemięwzięcie” Wojciecha Widłaka, ale to utwór starszy, bardziej zachowawczy, w pewien sposób klasyczny, znakomicie zresztą napisany. Lecz ciekawi mnie jedno. Agatę Zubel wymienia się zwykle jednym tchem z Cezarym Duchnowskim. O ile jednak kolejne utwory Zubel są coraz dojrzałe, u Duchnowskiego widzę regres. Bo albo zmierza on w stronę automatyzmu, dźwiękowej destrukcji, czyli środków znanych z wcześniejszych utworów, albo idzie w postneoromantyczny patos, jak w „Bramie”. Z drugiej strony widać, jak silną osobowością jest ten kompozytor. Zamówiony przez festiwal utwór „Mimesis II” Ryszarda Osady wyraźnie karmi się podobną estetyką. Ale skoro jesteśmy przy Wrocławiu. Duży zawód sprawił Marcin Bortnowski utworem „...zapatrzony w serce światła, w ciszę”. Przewidywalny, ubogi materiałowo, z ekspresyjnymi mieliznami. Z interesujących propozycji młodych twórców zwróciłbym jeszcze uwagę na „Counterpoint Seven” Adama Falkiewicza. Zirykowały mi natomiast kompozycje średniego pokolenia: sztampowo prapremierowy „The Sleep of Reason” Bronisława Kazimierza Przybylskiego, ordynarne i pozbawione finezji „Zorze I – Praskie” Jerzego Kornowicza i ludyczno-rozrywkowa „Danza generale” Zbigniewa Bagińskiego.

**ESz:** Mam wrażenie, że sytuacja „Warszawskiej Jesieni” nie jest obecnie komfortowa. W Krakowie wyrósł precyzyjnie sformatowany festiwal „Sacrum Profanum”, z mistrzowskimi wykonaniami arcydzieł współczesności, które gwarantują mu sukces. „Warszawska Jesień” cele i zadania ma zupełnie inne: poszukuje, eksperymentuje, prezentuje muzykę nieznaną, kreuje artystyczne wydarzenia. I to jest bardzo ważne. Niemniej zbyt obszerna formuła festiwalu, próba spełnienia wszystkich możliwych oczekiwań, w tym roku się nie sprawdziła. Mam wrażenie, że twórcy festiwalu muszą przedyskutować raz jeszcze jego założenia, zastanowić się, dla kogo chcą „Jesień” robić, i uważniej dobierać utwory. Za mało było w tym roku muzyki, która mogłaby zachwycić. Zastanawiam się, czy to nie są pierwsze oznaki kryzysu.

**DC:** Nie nazwałbym tego kryzysem, raczej utratą energii, cennej kreatywności, która wyróżniała festiwal jeszcze trzy, cztery lata temu. Boom warszawskojesienny minął, monopol na pokazywanie muzyki trudnej się skończył, a kontrpropozycji z ambitną muzyką jest coraz więcej. Nie można dłużej odcinać kuponów od marki festiwalu, oczekiwać nieustannego dopieszczania przez media, żądać wygłaszania bezkrytycznych opinii przez dziennikarzy. Trzeba proponować repertuar ciekawy i na dobrym poziomie, eksplorować nowe środki przekazu, skutecznie zabiegać o sensowną obecność festiwalu w telewizji i prasie. A na przykładzie obłożonych frekwencyjnie koncertów z wymagającą muzyką Stockhausena widać, że szum informacyjny wokół istotnych wydarzeń daje rezultaty. Tymczasem obserwuję dużą rotację publiczności, pojawia się wiele nowych twarzy, choć nie widzę tych, którzy bywali na koncertach dawniej. A przecież nie chodzi tylko o uwodzenie nastolatków z dobrych liceów, ale o stworzenie kręgu przyjaciół „Warszawskiej Jesieni”, publiczności stałej w uczuciach, wierniej. ◆